

Bohdan Kołomijczuk

**HOTEL
WIELKIE PRUSY**



Bohdan Kołomijczuk

HOTEL WIELKIE PRUSY

Wydawnictwo Anagram
Warszawa 2020

Tytuł oryginału: *Готель Велика Пруссія*

- © Copyright by Wydawnictwo Stary Lew
- © Copyright for the translation by Ryszard Kupidura
- © Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Anagram,
Warszawa 2020

Tłumaczenie:
Ryszard Kupidura

Redakcja i korekta:
Katarzyna Kusojeć

Projekt okładki:
Justyna Król

Opracowanie komputerowe:
Wanda Mierzejewska
(e-mail: wanda.mierzejewska@interia.pl)

ISBN 978-83-65554-72-7

Wydawnictwo ANAGRAM
ul. Niekańska 35 lok. 1
03-924 Warszawa

Księgarnia internetowa:
www.anagram.com.pl
e-mail: anagram@adres.pl

Dla D.K. – miłośniczki „Rewolweru i melonika”

POSEN

17.10.1905

Od rzeki ciągnął przenikliwy chłód. Markus opatulił się szczelniej swoim lichym ubraniem i przesunął bliżej ognia. Wilgotne polana nie chciały się palić, przez co gryzącego dymu było więcej niż pożądanego ciepła i światła. Mężczyzna z wrogością spoglądał w stronę Bogu ducha winnej Warty, podczas gdy jej wody odpowiadały mu spokojnym chlupotem.

Markus Szczypak, trzydziestoletni poznański włóczęga, z chęcią przeniósłby się z podmokłego brzegu Chwaliszewa w jakieś bardziej zaciszne i suche miejsce, powiedzmy na Alter Markt, gdzie jesienne wiatry nie dokuczały tak bardzo, a litościwe gospodynie od czasu do czasu częstowały ubogich gorącą strawą. Pojawiać się w centrum nie pozwalali mu inni włóczędzy, którzy stali od niego wyżej w hierarchii i którzy rościli sobie wyłączne prawo do żebrania w najlepszych dzielnicach miasta. Jeśli Markus, wbrew zdrowemu rozsądkowi, zdecydowałby się jednak wyruszyć w stronę Starego Rynku, to wątpliwe, by udało mu się dotrzeć dalej niż do linii Garbar. Zgodnie z niepisanym prawem poznańskiego półświatka w jego kierunku poleciałby grad kamieni i szanse Markusa na przeżycie kolejnej nocy znacznie by zmalały.

Ktoś mógłby powiedzieć, że należy walczyć o swoje prawo do życia w miejskim centrum, ale Markus nie uważał tego za konieczne. Był bezdomny zaledwie pół roku i wciąż dobrze pamiętał spokój domowego zacisza i smak świeżo wypieczonego chleba. Ciągle jeszcze wierzył, że jego obecna sytuacja to jedynie koszmarny sen albo pomyłka, której przypadkowo dopuścił się Stwórca.

Spojrzał w górę. Na tle szarocznego zmierzchającego nieba odznaczała się sylwetka mostu Chwaliszewskiego. Jego przęsło znakomicie nadawało się na jako takie schronienie przed deszczem, który w ostatnich dniach padał w Poznaniu coraz częściej. Stara, smętna jesień zaczynała powoli swoje panowanie.

Markus nie pamiętał już, kiedy dokładnie zaczął pić. W ciągu kilku miesięcy przepił wszystkie swoje pieniądze i roztrwonił majątek. Wkrótce potem wpadł w długi, które ostatecznie zniszczyły jego życie jako szanowanego obywatela miasta. Szczypak dobrze pamiętał jedynie delikatne ciało swojej małżonki i ciepłe objęcia swoich dzieci. Gdy wrócił do nich myślami po raz kolejny, poczuł, jak łyzy zaczynają go piec pod powiekami.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni, w której spoczywał jego dzisiejszy skarb – aromatyczny papieros Die Reichswehr, który jakiś urzędnik upuścił na chodnik. Możliwe, że ten człowiek by go podniósł,

ale Markus był szybszy. Urzędnikowi nie pozostało nic innego, jak skrzywić się z odrazą i pójść dalej.

Szczypak przysunął papieros do nosa, z przyjemnością zaciągnął się zapachem tytoniu i z drugiej kieszeni wyjął zapałki. Co prawda bardziej, niż palić, chciało mu się jeść, ale dzisiaj trafiło mu się jedynie to. Jak tylko końcówka papierosa rozżarzyła się w ciemności, do jego uszu dotarły czyjeś ściszone głosy. Dochodziły z góry, co oznaczało, że ktoś pomimo późnej pory wybrał się na przechadzkę po moście. Markus przysłuchiwał się głosom i ze zdziwieniem stwierdził, że należą do kobiet. Na moście rzeczywiście zamajaczyły sylwetki dwóch spacerujących postaci, które rozmawiały ze sobą półszepem.

„Głupie kozy – pomyślał. – Nie przejdą nawet dwustu metrów... Po jaką cholere się tutaj pchają bez żadnej opieki?”

Mężczyzna chciał wrócić do spokojnego wpatrywania się w ogień, lecz zauważył, że z drugiego brzegu Warty w kierunku mostu przemknęło kilka cieni. Serce Markusa zamarło. Dobrze wiedział, że kobietom grozi spotkanie z takimi jak on włóczęgami. I jeśli im się poszczęści, to zostaną pozbawione jedynie kosztowności, które mają przy sobie.

– Kozы, kozы, głupie kozы... – szeptał Markus, obejmując swoje kolana i kołysząc się nad dymem niczym afrykański szaman. – Po co się tu pchają? No po co?

W tym czasie dwóch bandziorów otoczyło nieszczęsne kobiety i oglądając się za siebie, zaczęli wyciągać do nich swoje brudne łapy. Kobiety, nie śmiąc nawet krzyknąć, jęły bezładnie ściągać kolczyki, nim napastnicy pozrywaliby je razem z ich uszami.

Wtem jeden z oprawców znieruchomiał, po czym kiwnął na obszarpaną postać, która szybko zbliżała się w ich stronę.

Markus uniósł pięści na wysokość twarzy i starał się wyrównać oddech. Wciąż pamiętał, jak należy to robić. Nieznany głos zaczął szeptać w jego głowie: „Dwa razy lewa i raz prawa... Krok na bok i krótka z prawej... Znów lewą i odskoczyć... Sierpowy nad opuszczoną ręką... Skontrolować na szczękę...”.

Jeden z napastników przewalił się przez skraj mostu i runął do rzeki. Dwóch pozostałych leżało nieruchomo na ziemi. Robota była skończona.

Markus wytarł pot z czoła i spojrzał na kobiety. Wiek pierwszej ocenił na trochę ponad czterdzieści lat, druga zdała mu się znacznie młodsza. Obie patrzyły na swego wybawcę w milczeniu, gdyż z wyglądu zupełnie nie odróżniał się od tych, których dopiero co solidnie sprął. Mężczyzna postął tak pół minuty, po czym postanowił pójść w swoją stronę.

– Proszę zaczekać. Dokąd pan idzie? – Starsza z kobiet przełamała strach i zrobiła krok w kierunku Markusa.

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. No, chyba że tylko tyle, że chce wrócić do grzania się przy ognisku pod mostem.

– Niech pan poczeka – powtórzyła kobieta. – Dziękuję panu! Dał pan świetną nauczkę tym niegodziwcom! Jak się to panu udało?

– Kiedyś byłem bokserem – odparł Markus i zdumiał się brzmieniem własnego głosu. Nie używał go od kilku dni i przez ten czas znacząco mu się zmienił. Stał się bardziej chrypliwy i jakby wydobywał się z głębi płuc.

– Czy możemy coś dla pana...

– Macie jedzenie? – przerwał jej Markus i przełknął sporą porcję śliny.

Kobieta skinęła głową.

– Mamy, ale nie tutaj. Czy odprowadzi pan nas do najbliższej dorożki?

– Z przyjemnością – powiedział Markus.

Okazało się, że nie trzeba było daleko iść. Po dziesięciu minutach cała trójka siedziała już w fiakrze, a młodsza kobieta, zerkając co chwila na włóczęgę, marszczyła z odrazą swój nos. Markus doskonale zdawał sobie sprawę, że cuchnie od niego jak od starego psa, dlatego tylko spuścił głowę i spokojnie czekał, aż dojadą na miejsce.

Fiakier zatrzymał się nieopodal kościoła Świętego Marcina.

– Co panie robiły na moście? – cicho spytał Markus, kiedy wyszli na ulicę i starsza kobieta rozliczyła się z dorożkarzem. – To dość dziwne miejsce na spacer o tej porze.

W odpowiedzi kobieta uśmiechnęła się tajemniczo i rzekła:

– Lepiej, żeby pan nie wiedział.

Nieznajoma wskazała na piętrową kamienicę, w której oknach paliło się światło.

– Chodźmy. Tutaj pana nakarmią.

II

BIRNBAUM

(dzisiejszy MIĘDZYCHÓD),

72 km od POSEN

28.10.1905

Procesja pogrzebowa, która składała się z pastora, około dwudziestu mężczyzn, z których sześciu niosło na ramionach trumnę, oraz paru kobiet, zaczęła się mocno rozwlekać. Po obfitych opadach deszczu gliniana droga, prowadząca na stary kalwiński cmentarz, zamieniła się w błotną kałużę,

po której ślizgały się nogi ubrane w eleganckie męskie lakierki i zgrabne damskie pantofelki. Wszystkim było ciężko iść, a szczególnie tym, którzy nieśli zmarłego na wieczny spoczynek. Jedynie pastor przezornie włożył toporne chłopskie bucior, które co prawda zupełnie nie pasowały do stroju duchownego, ale znakomicie sprawdzały się podczas jesiennej słyoty. Chodzić w nich nie było łatwiej niż w zwykłych butach, ale przynajmniej stopa pozostawała sucha. Pastor szedł tą drogą nie po raz pierwszy i dobrze wiedział, jaka paskudna bywa ona w deszczowe dni. Jako jedyny z całej procesji był miejscowym. Dokładniej mówiąc, jedynym z wyjątkiem zmarłego, znanego bankiera Stefana Dresena, urodzonego w Birnbaum w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym, który trzy dni temu oddał w Berlinie swą duszę Bogu...

Przy czym ktoś pomógł panu Dresenowi przenieść się na tamten świat... Jego sprawy szły ostatnio całkiem dobrze, żeby nie powiedzieć znakomicie, dlatego też śmierć absolutnie nie była w jego planach. Stefana Dresena znaleziono martwego w jego ulubionym parku Friedrichshain, w którym miał zwyczaj spacerować przed śniadaniem. Zabójca zadał mu kilka ciosów nożem pod żebra, uszkadzając przy tym nowiutki garnitur wyjściowy wart pięćset marek, który został uszyty na zamówienie przez berlińskie atelier Kreuztmann & Syn przy Friedrichstrasse.

Ironia losu polegała na tym, że akurat dzień przed śmiercią Stefan Dresen poinformował swoją gospodynię, że wybiera się do rodzinnego Birnbaum, gdzie mieszkała jego ulubiona siostrzenica, dwudziestopięcioletnia Elisabeth, która wyszła niedawno za mąż za miejscowego aptekarza.

Cóż, przynajmniej ci, którzy teraz towarzyszyli mu w ostatniej drodze, mogli zaświadczyć z całą pewnością, że pragnienie bankiera zostało częściowo spełnione. Rzeczywiście trafił on do swojego *Heimatstadt*¹. Tyle tylko, że już na zawsze.

Kiedy tylko procesja dotarła do cmentarza, ponownie zaczął siać deszcz. Trumnę w pośpiechu opuszczono do wykopanego jeszcze poprzedniego dnia dołu i po krótkiej modlitwie dwóch przemokniętych do suchej nitki grabarzy zaczęło zasypywać go ziemią.

– *Erde zu Erde, Asche zu Asche, Staub zu Staub*². – Wydawało się, że słowa pastora wciąż jeszcze wiszą w wilgotnym, gęstym powietrzu, kiedy uczestnicy ceremonii zaczęli co rychlej wracać do miasta, nie chcąc więcej moknąć na chłodnym jesiennym deszczu. Najdłużej ze wszystkich nad świeżo uformowaną mogiłą Stefana Dresena pozostała jego siostrzenica z mężem, ale i oni wkrótce dołączyli do reszty. Po półgodzinie wszyscy zebrali się w rodzinnym domu Dresenów.

Czwórka mężczyzn w prawie identycznych czarnych garniturach ulokowała się w niewielkiej bibliotece, której okna wychodziły na smutny mokry sad, prawie całkowicie bezlistny o tej porze

1 Miasto rodzinne (niem.).

2 Z prochu w proch, z pyłu w pył, z kurzu w kurz (niem.).

roku, przez co jeszcze bardziej ponury. Pożółkłe na półkach książki, przykryte równomierną warstwą kurzu, dobrze tłumili głosy, dlatego zebrani mogli być pewni, że ich rozmowy nikt nie podsłucha. Mimo to Frank von Harpe, sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, podniósł się z fotela, za którym znajdowała się ekskluzywna kolekcja filozofów oświecenia, i na swoich długich nogach podszedł do drzwi, by upewnić się, czy są dobrze zamknięte. Jego palce niczym węże opęły mosiężną klamkę w kształcie ptasiego skrzydła, po czym sekretarz stanu nacisnął na nią i pociągnął ku sobie. Drzwi nie ustąpiły. Pod klamką sterczał klucz, który on sam przekręcił dwukrotnie niespełna dziesięć minut temu.

– Cudownie – powiedział krótko Frank von Harpe i obrócił się do obecnych.

Palce mężczyzny ześlizgnęły się z klamki z taką samą gadzią zwinnością, z jaką się tam znalazły. Jeszcze na chwilę zatrzymał się przy drzwiach, aby z wysokości swego słusznego wzrostu spojrzeć na zebranych. Przymrużył lewe oko, jakby celował z niewidzialnej broni. „Celownik” zatrzymał się na czerwonicym jegomościu, który siedział obok okna. Patrząc przez mokre od deszczu szyby, łapczywie palił papierosa. Z popielniczki tkwiącej na parapecie sterczało kilka martwych niedopałków, z których jegomość wysał całe tytoniowe życie. Obok popielniczki stała opróżniona do połowy butelka serbskiej śliwownicy oraz samotna szklanka.

– Nie było pana na cmentarzu, panie Nitzpon – spokojnie, ale zgryźliwie zauważył von Harpe.

Mężczyzna z papierosem drgnął nerwowo i odpowiedział mu pełnym nienawiści spojrzeniem.

– Mnie nie było? – powtórzył skrzekliwym głosem. – To prawda, do cholery! Nie było mnie tam. Wzrok pana nie oszukał, dobrze pan zauważył. Tyle że chyba pan zapomniał, że to ja przywozłem tutaj trumnę z ciałem Stefana. Z Berlina do tego przez Boga zapomnianego Birnbaum. Nie sądzi pan zatem, że miałem prawo nie pójść z wami na cmentarz?

– Niech się pan nie denerwuje, przyjacielu – próbował go uspokoić stateczny wążacz, który również palił, ale nie papierosa, a długą wrzoścową fajkę. – To prawda, że wspólna wyprawa z umarlakiem nie należy do przyjemnych, ale takie jest prawo życia. Zapisano w nim nie tylko słodkie chwile, ale i...

– Dziwię się pańskiemu spokojowi, pułkowniku! – gwałtownie przerwał mu Nitzpon. – To już druga śmierć, a dokładniej drugie zabójstwo... Zabójstwo jednego z nas, pragnę podkreślić!

Po tych słowach na krótką chwilę zapanowała cisza. Wydawało się, że zebrani zastanawiają się nad nimi albo też nie chcą dolewać oliwy do ognia nieostrożną uwagą.

– Komisarz Lütke pracuje w Berlinie dzień i noc – odezwał się czwarty z obecnych mężczyzn, który siedział za stołem i nie mając nic innego do roboty, bawił się przyborami kancelaryjnymi i statuetkami rzymskich legionistów, które należały do zmarłego Stefana. – On najlepiej zna się na tej robocie.

– Ten wasz Lütke to zwykły dureń – nie wytrzymał Nitzpon, choć wciąż starał się mówić spokojnym tonem. – Dureń, bo nie widzi oczywistego związku pomiędzy zabójstwem biednego Felixa Zimmermanna, które miało miejsce miesiąc temu w Kórniku, a zabójstwem Stefana... Kurwa, do dzisiaj, kiedy tylko zamknę oczy, widzę leżącego w trzcinie posiniałego i nabrzmiałego trupa Felixa. W zasrany jeziorze!

– Jezioro, swoją drogą, całkiem urokliwe – niewzruszenie ciągnął pułkownik. – Sosnowe lasy wokół również. Lekarze mówią, że takie naturalne połączenie drzew i wody jest niezwykle korzystne dla zdrowia.

Tym razem to na niego Nitzpon spojrzał z nienawiścią, ale mężczyzna przemilczał to. Wydawało się, jakby się obawiał, że zaraz sam zerwie się z miejsca i rzuci komuś do gardła.

– Nikt panu nie radzi, jak ma pan zarządzać własnymi fabrykami, nikt też nie nazywa pana durniem, prawda, panie Nitzpon? – powiedział mężczyzna zza stołu. – Dlatego nie oceniamy przedwcześnie pracy komisarza.

– Idźcie wy wszyscy do diabła! – burknął ten w odpowiedzi, po czym chwycił butelkę i nalał sobie nową porcję alkoholu. – Nikt z was po prostu nie bierze pod uwagę, że może stać się następną ofiarą...

Po tych słowach Nitzpon wychylił kieliszek, a w bibliotece zapanowała cisza. Tym razem dłuższa.

– Swoją drogą śliwownicę wziął pan z zapasów Stefana, czy tak? – zainteresował się w końcu pułkownik, który nieobojętym okiem obserwował, jak Nitzpon pochłania jasnożółty napój.

Fabrykant milcząco wskazał na niewielkie drzwiczki w ścianie między dwoma regałami z książkami. Pułkownik westchnął w zamyśleniu, włożył fajkę do ust i niespiesznie, ale zdecydowanie ruszył w kierunku barku. Prawdopodobnie z takim samym wyrazem twarzy szturmowałby twierdzę wroga lub szarżował na wojska przeciwnika. Po otwarciu drzwiczek pułkownik spróbował przeciągle zagwizdać, ale ponieważ fajka wciąż znajdowała się między jego zębami, jedynie okadził gęstym tytoniowym dymem najbliższe rzędy butelek. Mogło się wydawać, że do tego tajemniczego miejsca przybył nie pułkownik sztabu generalnego Jörn Alsdorf, a jakaś sporej wielkości lokomotywa.

– Nasz zmarły przyjaciel był, jak widać, smakoszem – wycedził przez zęby, znowu pykając fajkę.

– O ile mi wiadomo, Stefan niezbyt często tu bywał – z pewnym wyrzutem powiedział do jego pleców mężczyzna siedzący za stołem. – Dlatego mam wątpliwości, czy cały ten arsenał alkoholi należał właśnie do niego.

– Daj spokój, Ebercie – odparł Alsdorf, nie odwracając się. – W domu rzeczywiście mieszka teraz jego siostrzenica z mężem, ale w tym gabinecie nie mają prawa nawet przestawić książki, nie mówiąc już o tym, żeby odkorkować jedną z tych cudownych butelczyn.

– Czemu pan tak sądzi? – z niedowierzaniem dopytał Ebert.

Jakby przygotowując się do wysłuchania odpowiedzi, usadowił się wygodniej w fotelu, wyciągnął nogi spod stołu i założył jedną na drugą.

– Bo dopiero co startł pan kurz z przyborów na biurku, z których najpewniej jako ostatni korzystał zmarły. Być może nawet w celu napisania do pana przyjacielskiego listu. Czy otrzymywał pan listy od Stefana?

– Nie, nigdy. Co ma do tego kurz? Cóż w tym nadzwyczajnego?

– Nadzwyczajne jest to, że kurz był jedynie na kałamarzu, podczas gdy cały blat został starannie przetarty – powiedział pułkownik, obracając się w jego stronę. W dłoniach Alsdorfa pojawiła się butelka Asbach Urtat z pociemniałą od upływu czasu etykietką. – Kałamarza zatem nie tknięto. Myślę, że to dlatego, że jego rzeczy w ogóle nikt nie śmiał ruszyć.

– A zatem jest pan jedyną osobą poza Stefanem, która wzięła do rąk tę brandy – dorzucił von Harpe.

– *Genau, Herr Staatssekretär*³ – potwierdził pułkownik. – Ale tylko dlatego, że gospodarzami tego domu są ci przekłeci kalwiniści. Nie mają zwyczaju wydawania przyjęć pogrzebowych, a zatem nie ma mowy, aby zaproponowali nam wypicie za spokój duszy...

– Dobrze, że wziął pan sprawy w swoje ręce – ożywił się raptem Nitzpon, który prawie opróżnił już całą butelkę śliwownicy z zapasów Stefana. – Szklanki też pan tam znajdzie, proszę sięgnąć trochę głębiej...

– Na moje oko to pan już wystarczająco wypił – odezwał się surowo Ebert.

– Idź pan do diabła! – odparł Nitzpon.

Mężczyzna za biurkiem zerwał się z gniewem na równe nogi.

– Panowie – skrzywił się von Harpe. – Uspokójcie się. Jeszcze tylko bójki nam trzeba. Albo jakiegoś pojedynku na szpady, jak w czasach studenckich!

Słowa von Harpego poskutkowały i dwóm niedoszłym adwersarzom ochłonęły nieco głowy. Nitzpon znowu zaczął wpatrywać się w mokre od deszczu okno, a Ebert udał, że zaintrygowała go jakaś wyjątkowa książka. Zapanowała niezręczna cisza, którą wkrótce przerwał pułkownik głośnym odkorkowaniem butelki. Po chwili wprawnie rozlał brandy do czterech szklanek, zapełniając każdą równo do jednej trzeciej.

– Cóż, uczcijmy pamięć biednego Stefana – z uroczystym smutkiem w głosie powiedział pułkownik po tym, jak wręczył każdemu z obecnych porcję alkoholu.

– Niech spoczywa w pokoju – zawtórował mu Frank von Harpe.

Ebert i Nitzpon jedynie milcząco skinęli głowami, po czym łyknęli brandy. W gabinecie dało się słyszeć gwałtowne wydechy i pociąganie nosami, pod którymi znalazły się rękawy marynarek, aby

³ Zgadza się, panie sekretarzu stanu (niem.).

zawąchać piekielnie mocny trunek. Niczego bowiem, co nadawałoby się na zakąskę, w bibliotece nie było.

– Tak sobie pomyślałem – odezwał się podchmielonym głosem Nitzpon, zapalając kolejnego papierosa. – Czy te zabójstwa nie są czasem sprawką naszych... przyjaciół? Naszych sojuszników?

Popatrzył przy tym znowu na Eberta, przez co ten poczuł się wywołany do odpowiedzi.

– Proszę mówić jaśniej – powiedział sucho, wytrzymując pijane spojrzenie Nitzpona. – Kogo ma pan na myśli?

W odpowiedzi Nitzpon chrząknął z pogardą.

– Niech pan nie udaje naiwnego świętoszka... To pan jako inicjator naszego „paktu z diabłem”, czyli po prostu układu ze światkiem przestępczym, powinien wiedzieć najlepiej, kogo mam na myśli...

– Wystarczy! – ponownie wtrącił się von Harpe. I kiedy tamten zamilkł, kontynuował możliwie spokojnym tonem: – Panie Nitzpon, wszyscy byliśmy przy zdrowych zmysłach, kiedy podpisywaliśmy tamtą umowę. I nikt nikogo do tego nie przymuszał. Każdy miał swój powód, by to zrobić, ale przecież głównym celem był interes całego kraju. Przyznaję, że to umowa z podejrzanymi ludźmi, ale nic nie można poradzić. Mamy takie czasy, jakie mamy, i przeciwnika takiego, a nie innego... Rosjanie również nie przebijają w środkach. I jeżeli już mamy wysuwać jakieś podejrzenia, to raczej wskazałbym na ich wywiad, a nie na naszych sprzymierzeńców.

– Wysuwanie podejrzeń to sprawa policji – zauważył pułkownik. – Jestem przekonany, że nasz drogi komisarz Lütke nie traci czasu.

Przygryzł swoją fajkę i przemaszerał wokół zebranych, by niczym wytrawny kelner dogodzić każdemu nową porcją brandy.

– Otóż to – poparł pułkownika von Harpe. – Pojutrze razem z Ebertem spotkamy się z nim w Berlinie. Spodziewam się, że przedstawi nam jakieś wstępne ustalenia.

– Dlaczego tylko panowie mają się spotkać z komisarzem? – spytał zaczepnie Nitzpon. – Czy sprawa dotyczy jedynie waszej dwójki?

– Naturalnie, że nie – odpowiedział mu sekretarz stanu – ale pułkownik w tym czasie będzie w delegacji, a pan u siebie w domu we Frankfurcie. Czyżbym się mylił?

– Wszystko się zgadza – odpowiedział za niego Alsdorf, któremu przejście się z butelką wyraźnie poprawiło nastrój.

Nitzpon wypił w milczeniu, nie udzielając odpowiedzi.

– Przede wszystkim wszyscy powinniśmy być obecni za tydzień w Posen – powiedział Ebert – by spotkać się z naszymi przyjaciółmi. Nie zapomni pan, panie Nitzpon? Będziemy mieli wtedy okazję, jak sądzę, otrzymać wreszcie odpowiedzi na wiele pytań.

Zebrani zareagowali na jego słowa milczeniem, jednak Ebert doskonale wiedział, że potraktowano je poważnie. Pułkownik zrobił kolejny obchód, rozdzielając po równo pozostałą brandy. Mężczyźni wypili w ciszy.

Wykwintny mocny alkohol przesączył się z żołądków do krwi i popłynął wraz z nią do mózgów. Tam zaczął powoli otumaniać głowy całego towarzystwa, z wyjątkiem rzecz jasna Nitzpona, który już dawno zdążył wstawić się śliwownicą, pragnąc poprawić sobie humor po wielce nerwowym dniu.

– A ja oto, moi panowie, wybieram się za miesiąc do Bawarii – oznajmił pułkownik Alsdorf, ponownie zaglądając do barku zmarłego Stefana. – Zamierzam spędzić z rodziną kilka tygodni nad jeziorem Starnberger. Moje dzieci uwielbiają rejsy parostatkiem. Zresztą i ja, muszą panowie wiedzieć, często żałuję, że związałem kiedyś swoje życie z wojskami lądowymi. Powinienem być pójść do marynarki...

Mówiąc to, chwycił za grubą szyjkę butelki Rumble Minze i z uwagą zaczął studiować etykietkę likieru.

– Służba służbą – dodał, nie odrywając się od czytania – a odpocząć trzeba przynajmniej raz w roku. Jeśli nie latem, to chociaż jesienią.

Von Harpe sceptycznie spojrział na okno, za którym chłodny deszcz tylko przybierał na sile i coraz głośniejsze bębnił o szybę.

– Tegoroczna jesień należy do najpaskudniejszych. – Skrzywił się. – Nie było w ostatnim czasie typowych dla tej pory roku ciepłych dni. Żadnego babiego lata. Dla mnie jako zapalonego myśliwego taka pogoda to nic innego jak katastrofa.

– Poluje pan? – Autentycznie zdziwił się Ebert i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech niedowierzania. – Nigdy bym nie pomyślał! No proszę...

– Tak, jestem myśliwym – trochę nerwowo odpowiedział mu sekretarz stanu. – Dlaczego to pana, do cholery, dziwi?

– Już dobrze, proszę się nie denerwować – udobruchał go Ebert. – Po prostu wnioskując z pana wyglądu, wydawać by się mogło, że nie skrzywdziłby pan nawet muchy. A tutaj okazuje się, że z zamiłowaniem strzela pan do niewinnych zwierząt.

– *Frontis nulla fides*⁴ – przekrzykując ich, podsumował pułkownik, chcący uniknąć kolejnej sprzeczki. – Nigdy nie można dokładnie określić, jakie upodobania czy zamiary ma człowiek, jeśli oceniać go jedynie po wyglądzie.

Po otwarciu butelki sznapsa Alsdorf po raz czwarty dzisiaj napełnił zebranych szklanki, tym razem jednak do pełna. Nitzpon, który zaczął już drzemać, nagle ożywił się i zaintonował jakąś pospolitą piosenkę.

4 Pozory są zwodnicze (łac.; autor – Juwenalis).

- Niechże pan zamilknie! – nie wytrzymał Ebert. – Mamy tutaj uszanować pamięć zmarłego!
 - I co z tego? – burknął fabrykant i wychylił swoją porcję sznapsa. – Ja na ten przykład nie chciałbym, żeby na mojej stypie ktoś zawodził i rwał sobie włosy z głowy. I tak będzie mi wszystko jedno. Pojmują panowie? Będę miał to głęboko w dupie! Stefan też ma to teraz w dupie! W swojej zimnej martwej dupie, na którą z jakiegoś powodu założono czyste majtki i gładziutko wyprasowane spodnie... Jakby, kurwa, robakom przyjemniej się przez to żarło...
 - Boże litościwy, co on bredzi – wycedził sekretarz stanu i oddalił się od Nitzpona.
 - Wie pan, po części nasz drogi Nitzpon ma rację – dyplomatycznie zauważył pułkownik.
 - Na Boga, Alsdorf! – krzyknął na niego Ebert. – Niechże chociaż pan nie traci rozumu!
 - Drogi przyjacielu, wolałbym, żeby nie mówiono mi, co powinienem robić – z toksycznym spokojem w głosie odpowiedział mu tamten.
 - *Halo, Herr Staatssekretär* – zawołał na cały głos Nitzpon – nie wypada odwracać się do swojego rozmówcy plecami! Nie uważa pan?
 - Jeśli rozmówca jest pijany jak świnia, to wypada – burknął von Harpe, ale ostatecznie nie odwrócił się, żeby spojrzeć, jakie wrażenie te słowa wywarły na fabrykancie.
- I to zresztą był błąd, bo Nitzpon nieoczekiwanie zerwał się żwawo z miejsca i wyciągając do przodu pięści, z nienawiścią rzucił się na tego, który właśnie go obraził. Fabrykant w ciągu paru sekund doskoczył do von Harpego i całą swoją masą wbił się w niego niczym byk w torreadora. Sekretarz stanu, który był wyższy od swojego napastnika o jakieś dwie głowy, jęknął boleśnie i złożył się wpół jak szwajcarski scyzoryk. Ebert i pułkownik Alsdorf od razu doskoczyli do nich.
- Nitzpon, czy pan już zupełnie zwariował, do cholery?! – krzyknął Ebert, chwytając fabrykanta za kołnierz i z całej siły starając się odciągnąć go od ofiary. Z pomocą pospieszył mu pułkownik. Nitzpon ryknął jak dziki zwierz, ale ostatecznie zostawił w spokoju sekretarza stanu, po czym uwolnił się spod dozoru rozjemców. Von Harpe niepewnie się wyprostował, wciąż trzymając się za bolący bok.
- Wszystko z panem dobrze? – zapytał go Ebert, łapiąc oddech.
- Sekretarz stanu potwierdził kiwnięciem głowy.
- Z całym szacunkiem, drogi von Harpe, ale i ja w podobny sposób odpowiedziałbym na taką obrazę.
 - Cóż, brutalna siła przydaje się, kiedy brakuje piątej klepki – półszepsem powiedział sekretarz stanu, poprawiając krawat.
 - Niech pan posłucha, dobrodzieju... – Nitzpon już miał wrócić na swoje miejsce pod oknem, ale usłyszawszy te słowa, zatrzymał się.
 - Wystarczy! – powstrzymał go Alsdorf. – Niech pan weźmie na wstrzymanie z łaski swojej!
 - Sam pan powiedział, że zrobiłby to samo na moim miejscu!

- Tak, ale uważałbym przedtem z alkoholem!
- Nie jestem pijany, do cholery!
- Do diabła, panie Nitzpon, niech zadecyduje o wszystkim pojedynek! – odezwał się pokrzywdzony.
- Chce się pan strzelać? – ucieszył się tamten. – Jestem za!
- Proszę natychmiast przestać – wtrącił się Ebert. – Co to za wymysły? Nikt tu nie będzie się pojedynkował!
- Owszem, będzie! Chyba że ten urzędnik przeprosi za swoje słowa!
- Na Boga, von Harpe, niechże pan powie, że jest mu przykro! – poprosił Ebert.
- Czy mi przykro? Ani krzty!
- Czas i miejsce! Niech pan wybierze czas i miejsce! Jak za starych dobrych czasów!
- Milczeć! – nagle pułkownik ryknął na nich jak na żołnierzy.

O dziwo, podziałało i mężczyźni zamilkli. Tymczasem Alsdorf, również w milczeniu, wskazał palcem na drzwi. Z drugiej strony ktoś nerwowo pukał... Sekretarz stanu, objąwszy obecnych nieprzyjemnym spojrzeniem, poszedł otworzyć. Za drzwiami stała siostrzenica zmarłego – Elisabeth. Jej ubrana na czarno smukła sylwetka była ledwie widoczna na tle zaciemnionego korytarza. Wyróżniała się tylko jej blada jak kreda twarz, poczerwieniałe od płaczu oczy i śnieżnobiała chustka, którą Elisabeth mięła w dłoni.

- Co się tutaj dzieje? – spytała słabym od cierpienia głosem.
- Co się dzieje? – powtórzył sekretarz stanu, starając się ukryć zmieszanie. – Nic szczególnego. Posprzeczaaliśmy się trochę o... politykę cesarza.
- Na Boga, panowie, nie czas teraz na polityczne sprzeczkę.
- Ma pani rację, proszę wybaczyć...

Elisabeth podniosła chustkę do oczu i hamując kolejny napływ łez, rzekła:

- Zapraszam panów do uroczystego stołu. Za piętnaście minut w salonie...

I nie czekając na odpowiedź, pogrążona w żałobie siostrzenica zmarłego bankiera zniknęła w ciemnej otchłani korytarza.

Zamknąwszy drzwi, von Harpe potoczył wzrokiem po obecnych. Wszyscy zaczęli doprowadzać swój ubiór do ładu.

- Jeszcze tego brakowało – westchnął sekretarz stanu. – Okryliśmy się hańbą w dzień pogrzebu...
- Daj pan spokój – nie zgodził się pułkownik. – Mieliśmy za sobą trudny dzień i trochę wypiliśmy. Komu się nie zdarzyło?
- A swoją drogą mówił pan, że kalwiniści nie organizują styp – zarzucił mu Ebert.

Ten tylko wzruszył ramionami.

- Nie wiem, może siostrzenica Stefana nie jest kalwinistką?
- Tak czy inaczej, jestem straszliwie głodny – zaznaczył Nitzpon, który zaczął już powoli trzeźwieć.

Inni, jak się zdaje, również nie byli przeciwni, by coś przekąsić. Po kwadransie, zgodnie z życzeniem Elisabeth, mężczyźni opuścili bibliotekę i zeszli do salonu, skąd dochodził zapach gorących dań i gdzie czekali już inni goście.

III

BERLIN

29.10.1905

Komisarz Joachim Lütke siedział w niewielkiej restauracji nad Sprewą i palił już piątego papierosa. Minęło więcej niż pół godziny, od kiedy tutaj przyszedł, i kelner zdążył już dwukrotnie zainteresować się, czy gość nie pragnie czegoś więcej oprócz czarnej kawy, która stygła na stoliku obok popielniczki. Lütke odmawiał za każdym razem, tłumacząc, że w każdej chwili może dołączyć do niego kobieta i wówczas zamówią coś razem. Kelner uśmiechał się, kłaniał delikatnie i kierował się ku innym stolikom i siedzącym przy nich gościom.

Lütke trochę się już niecierpliwił. Wystukiwał palcami na stole jakąś niezrozumiałą melodię i nie odrywał wzroku od wejścia, w którym lada chwila miała stanąć Anna Kalisz, aktorka berlińskiego Schauspielhausu⁵, która rok temu przyjechała tutaj z austriackiego Lembergu. W ciągu krótkiego czasu zdążyła podbić serca miejscowej publiczności, która uwielbiała ją absolutnie za wszystko, w tym za urodę i rozkoszny prowincjonalny akcent. Kalisz zbierała gromkie owacje niezależnie od tego, czy wcielała się w rolę niewinnej Berty, okrutnej Medei, czy jakiegokolwiek innej postaci.

Lütke, co prawda, nie przepadał za teatrem i dość rzadko się w nim pojawiał. Miał ponad czterdzieści lat, wciąż pozostawał kawalerem, a zdecydowaną większość swojego życia poświęcił służbie – na początku w pułku jegierskim, później zaś w policji. Ten szczupłej, ale mocnej budowy ciała mężczyzna z ostrymi rysami twarzy po ciężkim dniu pracy wolał raczej zajrzeć do ulubionej knajpy i wychylić kufel dobrego piwa, słuchając przy tym miejscowej kapeli. Do poproszenia Anny Kalisz o spotkanie zmusiły go obowiązki służbowe, a ściślej mówiąc, sprawa, którą otrzymał miesiąc temu w Kripo... Gdy natrafił wśród materiałów na nazwisko znanej aktorki, był nie mniej zdziwiony niż ona sama, kiedy to wśród kwiatów i kartek gratulacyjnych znalazła jego zaproszenie na rozmowę. Teraz Lütke ponad wszystko obawiał się, że Anna zignorowała je, sądząc być może,

⁵ Teatr (niem.).

że pochodzi ono od kolejnego natrętnego wielbiciela, z którym spotkanie będzie tyleż nudne, co ryzykowne. Naturalnie, policjant mógł oficjalnie pojawić się u niej w garderobie lub w domu i zmusić ją w ten sposób do rozmowy. Jednak nie obyłyby się wówczas bez niepotrzebnego hałasu, który mógłby zbyt wiele kosztować. A w tej sprawie należało działać szczególnie ostrożnie...

Minął kolejny kwadrans, lecz Anna wciąż się nie pojawiała. Funkcjonariusz zaklął ze złości. Zrobił to na tyle głośno, żeby ulżyć swojemu rozczarowaniu z powodu niepowodzenia, i na tyle cicho, żeby nie usłyszano go przy sąsiednim stoliku. Miał już dać znak kelnerowi, aby ten przyniósł rachunek za niedopitą kawę, kiedy drzwi restauracji otworzyły się i do środka weszła kobieta w krótkim ciemnoniebieskim płaszczu i kapelusiku z woalką. Zastłonka na jej twarzy nie przeszkodziła Lütkeemu nabrać przekonania, że kryje się pod nią Anna. Nie mylił się. Kobieta zamieniła parę słów z kelnerem, po czym ten z szacunkiem odprowadził ją do stolika. Komisarz podniósł się z krzesła.

– Witam – przywitała się lakonicznie, spoglądając na niego przez woalkę.

Lütke również się przywitał i poczekawszy, aż kelner podsunie kobiecie krzesło, sam usiadł i zaczął mówić:

– Dziękuję, że pani przyszła, pani Kalisz...

Korciło go, żeby dodać coś na kształt: „Mogłaby też pani nie spóźniać się aż trzy kwadranse”, jednak ugryzł się w język.

– Czy państwo życzą sobie czegoś? – zapytał kelner. Komisarz usłyszał dziś to pytanie już po raz trzeci.

– Kieliszek rieslinga, jeśli byłby pan łaskaw – powiedziała Anna.

– Dobry wybór. – Kelner uśmiechnął się przyjaźnie. – Ma być reński czy mozelski?

– Reński – wtrącił się Lütke, widząc, że wybór sprawia Annie pewną trudność.

– Dobrze – potwierdził kelner – a dla pana?

– To samo – z niecierpliwością rzucił komisarz, który tak naprawdę nie miał ochoty na wino, lecz chciał za wszelką cenę pozbyć się towarzystwa kelnera.

Ten nareszcie odszedł. Anna ściągnęła rękawiczki i uniosła woalkę. Komisarz mimowolnie przyjrzał się jej twarzy. Oczywiście widział wcześniej jej fotografie w gazetach i na afiszach teatralnych, jednak na żywo kobieta wydała mu się znacznie atrakcyjniejsza. Była lekko po trzydziestce. Głębokie ciemne oczy spoglądały na współrozmówcę tajemniczo i wyzywająco. Tajemnica i wyzwanie kryły się także w linii jej ust oraz w arystokratycznych kościach policzkowych, które wyraźnie rysowały się nad gładziutkimi, bladymi policzkami. Lütke zapomniał na chwilę, w jakim celu zaprosił tutaj Annę. Zamarzył, by dokładniej przestudiować wzrokiem jej

twarz, niczym krytyk analizujący wybitne dzieło sztuki i pragnący nie przeoczyć żadnego szczegółu.

Na jego jawne już zapatrzenie aktorka odpowiedziała niechętnym uśmiechem, którym mówiła niemal: „I cóż, miły panie? Długo będzie pan tak na mnie wytrzeszczał oczy?”. Otrzeźwiło to komisarza, który skierował wzrok na papierośnicę i sięgnął po jej zawartość. Nie przestając wyrzucać sobie w myślach, jak mógł tak idiotycznie gapić się na kobietę i nic nie mówić, zaproponował jej papierosa. Aktorka jednak odmówiła.

– Sądzę, że te papierosy będą dla mnie za mocne.

Komisarz udał, że się tym przejął:

– Przykro mi, ale nie mam innych...

– Nie szkodzi. Proszę palić samemu – zaproponowała Anna.

Naszła go raptem ochota zemścić się za ten jej uśmiech, lecz nie wiedział, w jaki sposób mógłby to zrobić. Pomyślał w końcu, że i tak nie będzie jej lekko po tym, co zaraz usłyszy... To w zupełności wystarczy. Świadomość ta pocieszyła mężczyznę.

Lütke zapalił zapalniczką i przytknął ją do końcówki papierosa. Po tym, jak mocno zaciągnął się gorzkim dymem, poczuł, jak nieprzyjemnie zaczęło piec go w gardle. To dlatego, że dzisiaj sięgał po papierosy znacznie częściej niż zwykle.

– Nazywam się Joachim Lütke – powiedział, wydmuchując dym z płuc. – Pracuję dla Kripo.

Anna zbladła.

– Doprawdy? – zapytała zduszonym głosem. – Czy ja coś zrobiłam? Jestem o coś podejrzana?

Wyglądała na tak bardzo zagubioną, że komisarz ledwie powstrzymał się od rewanżu w postaci uśmiechu. „To prawda – pomyślał – w obcym kraju ostatnim, na co ma się ochotę, jest niespodziewane spotkanie z komisarzem śledczym... Nawet jeśli osiągnęło się sukces i wielbi cię tłum fanów”.

– Proszę się uspokoić – powiedział możliwie najłagodniej. – Niczego złego pani nie zrobiła. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane jako żart, lecz nie rozbawił on Anny. Wyprostowała plecy i lekko uniosła podbródek. Wydawało się, że lada chwila podniesie się i ostentacyjnie opuści lokal, jednak aktorka została na swoim miejscu. Być może na przeszkodzie stanął kelner, który wrócił do ich stolika i postawił na nim zamówioną butelkę rieslinga. Gdy tylko rękaw jego koszuli znalazł się na poziomie twarzy komisarza, Lütke skorzystał z okazji i ostrożnie, niczym z ukrycia, rozejrzał się po sali. Kelner prawie całkowicie zasłaniał go przed wzrokiem innych gości, dlatego jeśli ktokolwiek go tu śledził, musiał się w tej chwili zaniepokoić. Przychodząc do restauracji, Lütke umyślnie wybrał miejsce w kącie, żeby mieć przed sobą pozostałe stoliki. Najbliżej niego siedzieli

pułkownik artylerii z pewną damą, jednak ci zajęci byli emocjonującą dyskusją. Dalej, przy stoliku obok wejścia, spoczywał samotny reporter. Po nerwowym skrobaniu ołówkiem w kajecie można było się domyślić, że biedak spieszy się, by zdążyć z oddaniem artykułu na czas. Były tu też dwie hałaśliwe starsze panie, urzędnik z kolegą i jeszcze dwóch mężczyzn, którym trudno było przypisać wiek i zajęcie. Wydawać by się mogło, że jest bezpiecznie, żadnych podejrzanych typów...

A jednak nagle, pomimo opanowania, Lütke wzdrygnął się całym ciałem: wystarczyło mu pół sekundy, by zauważyć czyjś przenikliwy wzrok, który, kiedy tylko kelner się oddalił, natychmiast został ponownie utkwiony w rozłożonej gazecie. Anna zauważyła, że jej współrozmówca zmienił się na twarzy.

– Czy coś się stało? – spytała.

Komisarz podniósł kieliszek wina i opróżnił go jednym haustem.

– Otóż to, pani Anno. Niestety nie mogę powiedzieć tu pani wszystkiego, o czym miałem zamiar. Zresztą pozostanie w tym miejscu nie jest bezpieczne dla nas obojga. Dlatego będzie pani zmuszona przyjść do mnie dzisiaj wieczorem do domu...

– Co?!

– ...kartka z moim adresem leży obok pani torebki. Powiedzmy o ósmej.

Anna opuściła wzrok i rzeczywiście ujrzała przed sobą wizytówkę.

– Proszę posłuchać, to już stanowczo zbyt wiele! – uniosła się. – Już samym przyjściem tutaj ryzykowałam swoją reputację...

– To kwestia życia i śmierci – ściszył głos komisarz.

– To jakieś szaleństwo... A co niby mam teraz zrobić?

– Kontynuować.

– Kontynuować co?

– Złoszczenie się na mnie, wychodzi to pani nadzwyczajnie.

– Jest pan nienormalny!

– Wspaniale.

– Wariat! Zwykły wariat!

– Genialnie... A teraz proszę wstać i mnie spoliczkować. Ile ma pani sił.

– Och, z przyjemnością!

Podniósłszy się, aktorka wymierzyła komisarzowi siarczysty policzek. Zaraz po tym odwróciła się i zdecydowanie ruszyła ku wyjściu. Kiedy tylko kobieta opuściła restaurację, jej goście wbili swe spojrzenia w komisarza. Ktoś patrzył z wyrzutem, ktoś inny ze współczuciem. Nawet reportażysta oderwał się na chwilę od pracy. Lütke odpowiedział im głupkowskim uśmiechem i szerokim

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

